

Newsweek NA MAJÓWKĘ

ROZMOWA Z ANNA DYMNA

NADZIEI NIE TRACĘ NIGDY

Pomaganie to był dla mnie zawsze
odruch, jak oddychanie – **ANNA DYMNA**,
aktorka, szefowa fundacji Mimo
Wszystko, o prowokowaniu dobra,
hejcie i kotach

ROZMAWIA TOMASZ SEKIELSKI

NEWSWEEK: Czym dla ciebie jest nadzieja?

ANNA DYMNA: Zawsze kojarzy mi się ona z miłością do życia i świata. Wierzę, że rodzimy się nie tylko po to, by umrzeć. Nie umiem tego przekonania tłumaczyć i uzasadniać. Znam ludzi, którzy nie powołują się na żadnego Boga, a też mają w sobie taką nadzieję i pewność.

Czyli dla ciebie nadzieja to miłość i wiara?

– Dla mnie nadzieja to pewność, że wszystko, co się dzieje tu i teraz, ma głęboki sens. To, co nas spotyka, jest czasem bolesne, dotkliwe. Musi więc być ważne. Gdybym w to nie wierzyła, tobym sobie nie poradziła w wielu momentach. Budzę w sobie zawsze i mimo wszystko nadzieję oraz wiarę, że może być lepiej, że ludzie mogą być lepsi. To mnie napędza do działania, do robienia czegoś dobrego – nie tylko dla siebie.

Dziś społeczeństwa nastawione są raczej na konsumpcjonizm niż altruizm.

– Nie generalizujmy. Ale fakt. Tyle teraz podniecających atrakcji, dostępnych wspaniałości, tak nas to wszystko wabi, zachęca... dotknij mnie, spróbuj, zdobądź, posiadź mnie, jeszcze mnie nie masz, a inni mają... Normalne więc, że budzi się w człowieku chęć posiadania, spróbowania. Gonimy za tym, tracąc czas. Często przekonujemy się, że to cudo to tylko bańka mydlana. I wtedy dopiero rozumiemy, że posiadanie nie zawsze daje szczęście. Odnajdujemy je nagle w czyimś

uśmiechu, spojrzeniu, w ciężkiej pracy, w zdobywaniu jakichś szczytów, w odruchowej pomocy słabszej istocie... Brzmi naiwnie? Ale taka jest prawda. A jak się uda zrobić coś dobrego, to lżej się żyje i człowiek czuje się spokojniej, bezpieczniej. Dobro można prowokować. Czasem się to udaje. Wtedy wyłazi ono z ukrycia. I zaczyna kiełkować. Nawet potrafi rozmnażać się... jak zaraza.

Nauczyłaś się takiego podejścia do ludzi i świata czy zostałaś tak wychowana?

– Nikt mi nigdy nie powiedział kazań, niczego nie nakazywał, ale miałam w domu wspaniałe wzorce. Moja mama każdego traktowała z szacunkiem, bezdomnych, brudnych, takich, od których wszyscy się odwracali. Nie oceniała, nie oburzała się, pomagała po prostu. Byłam małą. Nie rozumiałam, dlaczego mama nie omija takich dziwnych, często agresywnych ludzi. Pytałam. Wtedy mi mówiła: „Małgosiu – bo wołała do mnie Małgosiu, ponieważ mój brat ma na imię Jaś – człowiek z gruntu jest dobry. Ten pan nie wie o tym widocznie, może jest chory, samotny, może nikt go nie kocha”. Od dziecka wiedziałam, że gdy czasem człowiek coś złego robi albo kogoś nienawidzi, to zawsze gdzieś na dnie jego serca jest jakaś rozpacz, cierpienie, samotność, kompleksy, marzenia i... dobro. I dlatego trzeba takim ludziom dawać szansę, dobrze ich traktować, aby to dobro w nich mogło się obudzić.



Jesteś chodzącą dobrocią, a mimo to spotykasz się z nienawiścią i hejtem.

– Czasem boli. Ale wiem, że to zwykle nie ma nic wspólnego ze mną. Zresztą ludzie mało o mnie wiedzą, choć wymyślają sobie mnie i moje życie, jak chcą i jak im pasuje. Na szczęście mam wokół mądrych przyjaciół. Jurek Owsiak ostrzegał mnie lata temu, że jak będę miała fundację i zacznę skutecznie działać, to spotkam się z zaskakującymi reakcjami. Radził, żebym nigdy nie reagowała na ataki personalne, tylko robiła swoje. Rzeczywiście, co chwilę ktoś cię prowokuje i usiłuje wciągnąć do walki na polu główna. Ale to nie moje metody. Przecież nie umiem walczyć na takim polu. Utopię się. Wiem, jak działa spirala nienawiści i teoria krzywych zwierciadeł według księdza Józefa Tischnera. Ktoś cię nienawidzi, prowokuje, przykłada ci. Ty zaczynasz go nienawidzić i oddajesz. Wówczas ta spirala się zaciska. I na twojej, i na jego szyi. Wszyscy więc się duszą. Nic z tego nie ma. Może lepiej nastawić drugi policzek? Albo popłakać sobie po prostu i iść spokojnie dalej? Ludzie nie pozwalają sobie, niestety, na to, co czasem robią moi podopieczni. Gdy jest im źle i nie rozumieją, dlaczego tak jest, to przytulają się do kogoś i płaczą. To pomaga w każdym stresie.

”NAJWIĘCEJ WYSIŁKU WKŁADAM W TO, ŻEBYM NIE POCZUŁA SIĘ NIGDY WYJĄTKOWA

Płacz ma oczyszczającą moc, rozładowuje emocje.

– A my, zamiast sobie po cichu popłakać, wyciszyć emocje, walimy w coś lub kogoś, kto jest akurat pod ręką. Z kolei w opisywanej przez Tischnera teorii krzywych zwierciadeł jesteśmy w sytuacji, w której siedzisz naprzeciwko człowieka i nie wiesz, że ktoś postawił między was krzywe zwierciadło. Widzisz wstrętą pokrzywioną mordę tego przeciwnika, który coś gada, nienawidzisz go jak psa. Ale nie zdajesz sobie sprawy z tego, że on, patrząc na ciebie, też spogląda przez to krzywe zwierciadło. Widzi twoje zdeformowane oblicze. W taki sposób często wygląda nasze debaty polityczne. Nikt nikogo nie słucha, wszyscy się przekrzykują, obrażają, często mówią równocześnie z rosnącą pogardą. A trzeba po prostu wyjąć zwierciadło, rzucić nim o ziemię i popatrzeć człowiekowi w oczy, porozmawiać spokojnie. Tylko czy to się sprzedaje? Jak jest rozróżba, to zwiększa się zainteresowanie, oglądalność.

Przykro to powiedzieć, ale tak jest. Dla mediów generalnie zła wiadomość to dobra wiadomość.

Skandale, afery, przestępstwa, wojny przyciągają więcej odbiorców niż „dobre informacje”. Chyba coś z nami jest nie tak.

– Mój pierwszy mąż, Wiesław Dymny, który był dzikim człowiekiem, fantastycznym, wolnym w zniewolonych czasach, mówił mi: „Aniczka, jak ci się uda być kiedyś dobrą, znaną aktorką, to zdarzać się może, że ludzie będą o tobie mówić niestworzone rzeczy. Pamiętaj, nigdy nie dementuj. Spokojnie słuchaj i z wdzięcznym zdziwieniem odpowiadaj: »Naprawdę? Nie wiedziałam. Dziękuję za informację«”. Wtedy były lata 70. Do dzisiaj stosuję tę radę. Bardzo dobrze działa. Oczywiście, hejt boli. Szczególnie w wykonaniu ludzi władzy i tzw. autorytetów. Przykro się robi. Ale żeby nie tracić czasu na nienawiść i nie dać się osłabiać złym emocjom, czasem sobie popłaczę do poduszki. Tylko moje koty to widzą i mruczą ze zrozumieniem. Gdy 20 lat temu otworzyłam fundację, od razu usłyszałam: „O, zestarzała się, dupa jej rośnie, to teraz będzie szmal zbijać na chorych”.

Jak sobie radzisz z takimi absurdalnymi zarzutami?

– Wiem, dlaczego robię to, co robię. Wiem, po co i dla kogo. To daje mi siłę oraz spokój. Jednak wciąż bezinteresowna złość i nienawiść potrafią mnie zaskoczyć. Kiedyś na Naszej Klasie był wirtualny śledzik przed świętami. Zrobiłam trzy specjalne wpisy, by sprawdzić, jakie słowa najbardziej ludzi drażnią. Pierwszy dotyczył podziękowania za udział w akcji charytatywnej. Napisałam mniej więcej tak: „Kochany przyjacielu, dziękuję ci, że biegłeś na rzecz mojej fundacji. Każdy twój krok to uśmiech mojego podopiecznego. Dziękuję. Z Tobą można zmieniać świat na lepszy”. Użyłam samych dobrych słów. Za minutę zaczęła się jatka. Ktoś dostał furii, zaczął mnie wulgarnie obrażać. Jedni brali mnie w obronę, inni bez żadnych hamulców wylewali ścieki słów na tegoż pana i świat. Nie wiedziałam, że tylu ludzi siedzi przy komputerach, by tylko komuś dowalić. Wyglądało to jak jakiś seans terapeutyczny na rozładowanie wściekłości. Jezu, jakie tam były słowa w ruchu. Chyba nawet Kaziu Kutz nie znał tych wszystkich wyrazów.

Kto jak kto, ale on znał chyba wszystkie możliwe przekleństwa.

– Tak i pokazywał, jak ich mądrze czasem używać. A mimo to nawet ja byłam zaskoczona. Zrozumiałam, że to ci biedni, agresywni ludzie potrzebują pomocy. Gdy mi ktoś pisze: „Ty gruba k..., ja bym ci...”, to liczy na to, że coś mu odpowiem. Może nawet bym go zaskoczyła swoją odpowiedzią. Ale po co dawać komuś takiemu satysfakcję? Jeśli otworzę gabinet terapeutyczny, to będę ostro odpowiadać i brać za taką terapię duże pieniądze. Przepraszam, trochę żartuję, żeby się nie dołować. Na szczęście jestem, jak to niektórzy mówią, „jakaś głupia”. Wolę więc się cieszyć, że sikorka wprowadziła się do budki w moim ogrodzie albo że student pięknie powiedział monolog, a żurek smakował mojemu Krzysowi.

Może jesteś wyjątkowa po prostu?

– Jestem jak najbardziej zwyczajna i normalna. Najwięcej wysiłku wkładam w to, bym nie poczuła się nigdy wyjątkowa. Lubię być komuś potrzebna, jak każdy. Ciągłe coś robię. Ileż jeszcze rzeczy przede mną. Wciąż brakuje czasu. Oczywiście, przemijanie powoli zabiera siły i sprawność, bywam zmęczona. Ale znam ludzi, którzy nawet sparaliżowani, na wózkach, rozrabiają jak najzdrowsi ludzie. Zamiast siedzieć i płakać po nocach, że coś

boli, coś nie działa, siadam przed komputerem i piszę scenariusz do cotygodniowego Salonu Poezji, który prowadzę.

Czyli przed emocjami uciekasz w pracę?

– Praca zamienia złe emocje w dobre, budzi radość. Pozwala zapomnieć o każdym bólu. Oczywiście, trzeba się czasem całkiem zresetować, zatrzymać choć na kilka minut, uspokoić bicie serca. Umiem to. Mam kocich superterapeutów mruczających. Potrafię usiąść z nimi na chwilę, nic nie robić. A kot mój robi firlaka, pokazuje brzuch i namawia: głaszcz powoli, pomruczę, całe napięcie ci minie za pięć minut, tylko spokojnie. Kiedyś ci o tym opowiem, jak będziesz o kotach robił wywiady. Mam też swój mały ogródek. Pięknie już jest dookoła. Wszystko kwitnie, wyłazi z ziemi. Budzi się we mnie to dziecko, co się zachwyci: „O, mucha leci!”.

Jak to jest być dla wielu osób symbolem nadziei, czujesz presję?

– Czasem czuję i to jest bardzo trudne. Ale wszystkim przecież nie można pomóc. Pomaganie to był dla mnie zawsze odruch, jak oddychanie. I on jest dla mnie zawsze początkiem działania. Ale zakładając fundację, musiałam się zacząć zastanawiać, jak mądrze i konkretnie pomagać. Ludzie, niestety, traktują mnie często jak wróżkę z magiczną różdżką. Czasem ktoś nienawidzi

mnie za to, że pomogłam komuś innemu, a nie jemu. A ja muszę mieć priorytety. Fundację założyłam, by zająć się konkretną grupą ludzi z niepełnosprawnością intelektualną. Ich nigdy nie mogę opuścić. To są takie „moje dzieci”. Ale przy okazji pomogliśmy już tysiącom ludzi w całej Polsce.

Nie kusiło cię, żeby kupić sobie dom w Grecji, wygrzewać się na plaży i mieć wszystko w nosie?

– Pływać bardzo lubię. Basen to bym chciała mieć w Krakowie. Kręgosłup mój by się cieszył. Ale wylegiwać się w Grecji? Czasem można pojechać i odpocząć dwa tygodnie. Ale dłużej? Szkoda czasu. Życie ucieka. Trzeba robić coś „własnymi rękami”. To najbardziej cieszy – śmiał się Wiesiu Dymny. I to prawda. Robiliśmy wszystko, co się dało: meble, zegary, obrazki, biżuterię drewnianą, kreacje przeróżne, przetwory, hodowaliśmy kwiaty, rysowaliśmy, malowaliśmy, heblowaliśmy, pisaliśmy... To wszystko, co zrobiliśmy, spaliło się w sekundę.

Co wtedy poczułaś?

– Płakałam tylko, tak symbolicznie, nad moją szklaną kolekcją. Myśmy nie mieli pieniędzy. Zbierałam szklane naczynia, takie grube z bąbelkami w środku. To były moje jedyne nabyte skarby. Jak się palił nasz strych, to temperatura była tak wysoka, że aluminium się topiło. To był straszny pożar. Kiedy zaczęto go

gasić, polewać wodą, to szkło popękało. I chyba popłakałam się nad tym szkłem troszeczkę. Usłyszałam tylko od Wiesia: „Aniczka, ale żyjemy, nie? Co tam szkło. A może i dobrze, że nam się spaliło. Zrobimy wszystko od nowa i lepiej”.

Takie zdarzenia uczyły mnie powoli, na czym polega sens życia, czym jest nadzieja, co to jest miłość.

Krótko po pożarze umarł twój mąż, po czym, jakby tego było mało, jadąc na plan zdjęciowy na Węgry, miałaś koszmarny wypadek.

”

DO FUNDACJI PRZYCHODZĄ LISTY OPISUJĄCE POTWORNĄ SAMOTNOŚĆ, OKROPNE PSYCHICZNE CIERPIENIA I BEZRADNOŚĆ. BRAK NADZIEI, MIŁOŚCI CZĘSTO JEST GORSZY OD ŚMIERCI

– Tak. To był czas moich ważnych i najtrudniejszych egzaminów. Po śmierci Dymnego świat mi się zawalił. Wydawało mi się, że nic już mnie nie czeka. Żyłam tak, jakby był tylko mój cień. Na szczęście wkrótce miałam poważny wypadek samochodowy. Ten wypadek mnie uratował. Straciłam na jakiś czas pamięć wsteczną. Co chwilę traciłam przytomność, a gdy ją odzyskiwałam, to czułam tylko radość, że jestem, że widzę za szpitalnym oknem słońce. I znów zapadałam się w ciemność. Jakimś cudem wyszłam z tego. Potem myślałam o tych dziwnych chwilach radości i zrozumiałam, że życie jest największym skarbem i obowiązkiem, że trzeba cieszyć się każdą chwilą. Byłam młoda, czekał na mnie mój kochany Stary Teatr i przyjaciele. Oni mnie uratowali. Ela Karkoszka, wspaniała aktorka, moja koleżanka ze Starego, przyjechała do mnie do szpitala na Węgry i przywiozła menu ze SPATIF-u z podpisami od kolegów i pytaniem: „Anka, co zamawiasz?”. Ratowało mnie to, że nie byłam sama.

Pięknie mówisz o tej nadziei, o miłości, o wierze w to, że życie ma sens. Tymczasem żyjemy w czasach, które sprawiają, że wielu ludzi traci ochotę do życia. Wiele osób popada w depresję, ma poważne problemy psychiczne.

– Do fundacji przychodzą listy opisujące potworną samotność, okropne psychiczne cierpienia i bezradność. Brak nadziei, miłości często jest gorszy od śmierci. To są bardzo trudne sprawy. Pamiętam Bartka chorego na mukowiscydozę. Wiedział, że jak dostanie kolejne zapalenie płuc, to umrze albo go podłączą do respiratora i będzie do końca życia przykuty do łóżka. Bar-

tek mi powiedział, że on tak nie chce, że się nie zgadza na tzw. uporczywą terapię. Lekarze musieli uszanować jego świadomą decyzję. Wkrótce umarł uśmiechnięty, w ramionach ukochanej żony. I wtedy zrozumiałam słowa poetów o tym, że miłość jest silniejsza od śmierci. Jeśli ktoś chory, w tak okropnej sytuacji, potrafi umrzeć szczęśliwy, to ta śmierć jest zawstydzona. Marne to jej zwycięstwo. Miłość to jest magiczna, największa siła. We mnie została miłość mojej mamy, mojego taty, wszystkich, których kochałam. Wiesiek mi pomaga całe życie. Nie ma go już 45 lat, a siła magiczna wciąż działa.

Zdarza się, że ktoś cię prosi o pomoc w odejściu?

– Tak. Nagrywam im jakieś proste słowa. Przesyłam uśmiech. Nauczyłam się od moich ciężko chorych przyjaciół, że po prostu trzeba przy nich być, trzymać za rękę, pomilczeć, porozmawiać o zwykłych, pozornie błahych sprawach. Takie ostatnie rozmowy potrafią być radosne i jasne. Znam wielu bardzo chorych i cierpiących ludzi, którzy latami walczą o godne życie. Po upadku komuny zmieniła się na korzyść sytuacja ludzi z niepełnosprawnościami w Polsce. Kiedyś nie uczestniczyli w społecznym życiu. Teraz żyją obok nas. Widzimy ich na ulicach, w kinach, teatrach, restauracjach. Nikt nie może udawać, że ich nie ma. Niestety, wciąż ich życie bywa koszmarem i ciągłą walką o wszystko. Często czują się tylko ciężarem, niepotrzebnym balastem. Znam los młodego człowieka, który po wypadku już 20 lat żyje na wózku. Przez te lata walczy z potwornym bólem, ale chce być potrzebny i traktowany jak pełnoprawny obywatel. Tak pisał do władz podczas ostatniego protestu osób z niepełnosprawnościami i ich opiekunów w Sejmie: „Proszę nie pozostawiać ludzi i tak już skrzywdzonych przez los na wykluczenie społeczne. Zrównanie renty socjalnej do minimalnego wynagrodzenia to wcale nie niebo. To tylko ziemia”.

Dlaczego nie umiemy tak zorganizować państwa albo tak siebie zorganizować, żeby ci ludzie nie musieli cierpieć i żebrać?

To jest bardzo smutne.

– I ten stan trwa wiele lat. Pamiętam, gdy PO rządziła, był podobny strajk w Sejmie. PiS wtedy waliło cierpieniem ludzkim w PO. Teraz rządzi PiS, a PO bije tym samym cierpieniem w PiS... A ludzie dalej cierpią. Co się z nami dzieje?

W najbliższych latach wydamy setki miliardów złotych na uzbrojenie, a nie jesteśmy w stanie zapewnić w gruncie rzeczy niewielkiej grupie opiekunów osób niepełnosprawnych dodatkowych świadczeń, pieniędzy na to, żeby mogli w miarę godnie żyć i pomagać swoim dzieciom.

– Czy naprawdę nie da się tego zmienić? Czy nie można uruchomić właściwych mechanizmów, wprowadzić ustaw, które tym najstabszym ludziom zapewnią godne życie? Mam nadzieję, że tak się wkrótce stanie.

Jest takie powiedzenie, że nadzieja jest matką głupich.

Co ty na to?

– Zgadzam się z tym absolutnie. Bo ja w sumie jestem głupie dziecko. Po prostu. I może to mnie ratuje. Ale nadziei nie tracę nigdy. **N**

tomasz.sekielski@newsweek.pl